*Burgon*, **„Miłość i apokalipsa”**

Jest taki czas, kiedy życie całkowicie zmienia znaczenie. Długi? Nikt ich już nie odbierze. Kariera? Nie będzie, gdzie jej zrobić. Przyjaciele? Wszyscy będą gryźć już suchą ziemię. I nieważne czy zginęli przed „tym dniem”, czy wkrótce po nim. To, co było, i tak nie miało już znaczenia, a ci, którzy przeżyli, skazani byli na samotność. Najważniejszym było znaleźć sobie miłość, pasję. Kogoś, o kogo można by zadbać i zatroszczyć się. Jakiś cel, choćby i najmniejszy, ale jednak cel. I Cody miał szczęście taką właśnie miłość znaleźć.

Nic nie mogło przecież tak trafić do serca mężczyzny, jak oldschoolowy model Harleya Davidsona, a na imię dał jej „Clyde”.

Wiatr rozwiewał jego długie, posiwiałe włosy, słońce przyjemnie grzało plecy, a silnik motocyklu mruczał piękną głębią. Świat stał otworem, a wokół nic, prócz szalejącego od pędu piasku, niekończącej się rzeki szarego asfaltu i przytłumionego „Master Exploder” Tenacious D z pradawnego odtwarzacza płyt CD, który jakimś cudem przetrwał apokalipsę.

Na twarzy motocyklisty malował się szeroki uśmiech. Nie musiał nawet bać się o muchy w zębach, wirusy zabiły je prawie dekadę wcześniej, więc „cieszenie się z jazdy pełną gębą” miało tym razem tylko jedno znaczenie. Uśmiech zniknął dopiero, gdy na drogowym horyzoncie wyklarował się jakiś punkt, niby miniaturowa gwiazdka lewitująca nad szosą. Na początku uznał ją za miraż; efekt zbyt długiej jazdy, gorącego powietrza i promieni słonecznych obijających się od nagrzanego asfaltu.

„Promienie słoneczne to może są, ale od czego one się…” – zdążył pomyśleć, gdy nagle gwiazdka błysnęła. Dobiegł go huk, a zaraz potem kawałki drogi wystrzeliły obok koła. Wniosek nasunął mu się błyskawicznie. – „Snajper.”

Przełknął przekleństwo i pochylił się w siedzisku, napierając bardziej na kierownicę. Pierwszy strzał chybił o cale, czyli przeciwnik znał się na robocie. Zatrzymanie się było samobójstwem. Zawrócenie było samobójstwem. Zjechanie z asfaltu też było samobójstwem. Wyjście z sytuacji było tylko jedno. Silnik zaryczał jak wściekły byk, gdy Cody przekręcił wajchę od gazu. Rura wydechowa splunęła ogniem i chmurą czarnego dymu.

Drugi strzał padł zaraz potem, ledwie mijając skroń motocyklisty; pasmo odstrzelonych włosów odleciało wraz z piaskiem. Przed kolejną kulą uratował go gwałtowny slalom. Odstęp między tymi dwoma wystrzałami zdał mu się zbyt krótki jak na zwykły karabin snajperski, to musiał być automat.

Z każdą kolejną sekundą świecący punkt coraz mniej przypominał gwiazdkę, a coraz bardziej przybierał humanoidalny kształt. Czwarty strzał chybił zupełnie, tak jakby w ogóle nie był wymierzony w niego. Chyba, że strzelec zdążył zestresować się niepowodzeniem. Ruch nadgarstka rozpędził motocykl jeszcze bardziej.

Sylwetka strzelca stawała się coraz wyraźniejsza. Stał na środku jezdni, z kowbojskim kapeluszem na głowie i jedną rękę uniesioną wysoko, a w niej… To nie był wcale karabin snajperski tylko najzwyklejszy w świecie rewolwer, zapewne modyfikowany AI wspomagającym celowanie, stabilizatorem i zautomatyzowanym magazynkiem; z klasycznego rewolweru pozostawał jedynie wygląd. Błysk, huk, metaliczny brzdęk i szarpnięcie. Piąty strzał trafił w lewe ramię Cody’ego i zapewne sprzątnąłby go na raz, gdyby ręka nie była mechaniczną protezą z kuloodpornej, czarnej stali. Na motocyklu utrzymały go lata wprawy.

Ostatni dystans między nim i napastnikiem zniknął w ciągu kilku sekund, a potem wszystko wydarzyło się błyskawicznie. Zdesperowany strzelec próbował odskoczyć, Cody najechał na niego jeszcze bardziej, rewolwer w mgnieniu oka uniósł się do góry, motocyklista wyciągnął dłoń. Strzał, huk, brzdęk, szarpnięcie, pisk opon, dym.

Chwilę później stali już naprzeciwko siebie, on i, jak się okazało, ona – kobieta o dosyć drobnej posturze, w masywnym ciemnobrązowym kapeluszu, z pustą dłonią nadal wyciągniętą przed siebie, choć nagrzana lufa rewolweru znajdowała się teraz w żelaznym uścisku mechanicznych palców Cody’ego. Na twarzy napastniczki malował się zawzięty wyraz, z kącika ust wystawała przeżuta wykałaczka. Cody zaciskał zęby, pod czernią przeciwsłonecznych okularów kryła się wściekłość. Przez chwilę oboje stali w napięciu, przypatrując się sobie.

Wszystkie płyty Cody’ego były dość dzikimi przeplatankami ulubionych utworów jego ojca, pozgrywanych na nośniki bez większego porządku. Dlatego stał właśnie oko w oko z osobą, która próbowała go zabić, a wszystko to w akompaniamencie „The House of the Rising Sun”. Kobieta przerwała ciszę jako pierwsza.

– Mamy impas – prychnęła, wodząc wzrokiem za swoim rewolwerem, który właśnie obracał się w dłoni jej niedoszłej ofiary. – Trochę to niezręczne, kotku.

Cody nie odpowiedział, spojrzał tylko na swój postrzelony motocykl. Z dziury po postrzale wyciekał przezroczysty płyn, następnie formując na ziemi mokrą plamę.

 – Oddaj mi moją spluwę – zażądała napastniczka z pełną powagą. Poruszyła ustami i wypluła wykałaczkę. – Ma wartość sentymentalną.

Mierzyła go wzrokiem, tak jakby samo spojrzenie miało go zastrzelić. Motocyklista odgarnął skrawek skórzanej kurtki i schował rewolwer za paskiem, a potem odwrócił się, podszedł do uszkodzonego pojazdu i przykucnął przy benzynowej plamie.

– Co za typ… – Usłyszał za sobą mruknięcie. Oczami wyobraźni widział, jak nieznajoma wznosi ręce do nieba. – A może cię w ucho trafiłam? Ogłuchłeś?

– Na wylot… – wymamrotał na głos, śledząc dokładnie tor przejścia pocisku. Stalowa pięść Cody’ego uderzyła w asfalt, tworząc w nim serię solidnych pęknięć. – Cała, cholerna, część do wymiany. Nigdzie tak nie pojedzie. Paliwo też całe poszło. Świetnie…

Odwrócił się w samą porę, by kopnięcie kozakiem, wymierzone w jego plecy, trafiło w twardą stal protezy. Odepchnął atakującą z taką siłą, że ta odleciała na kilka kroków i z impetem wyrżnęła plecami o drogę. Od razu podszedł do niej gwałtownym krokiem i spojrzał na nią z góry, nim jeszcze zdążyła się pozbierać. W ręce kobiety znikąd pojawił się nóż, albo raczej krótka brzytwa. Cody jedynie pokręcił głową i splunął w piasek gęstą śliną.

– Spróbuj czegoś takiego jeszcze raz, to skończy się moja litość – ostrzegł. Mechaniczne palce zgrzytnęły, gdy zacisnął je w pięść.

Nieznajoma, po niewątpliwym przeliczeniu swoich szans w walce wręcz z dużo masywniejszym, a do tego modyfikowanym mężczyzną, ostatecznie wypuściła nożyk z dłoni, a potem podłożyła ręce pod głowę w formie poduszki.

– Nienawidzę poniedziałków – rzuciła z rezygnacją.

Cody ściągnął okulary przeciwsłoneczne, żeby móc spojrzeć jej w oczy.

– Coś ty za jedna i co ci do łba strzeliło? – Krzyżował ramiona, z wprawą uważając na rozgrzany od słońca metal protezy.

– Rozbój i tyle – odparła z dziwnym uśmieszkiem na twarzy. Cody odnosił wrażenie, że nadal nie czuła się przegrana, zmieniła jedynie zasady gry. – Kroję przejezdnych, jakbyś sam nigdy tego nie robił. Z czegoś żyć trzeba, a wiemy, jaki jest Nowy Meksyk…

– Nie pierdol, panienko. – Uciął wywód, który bez wątpienia miał wprowadzić go w stan ogłupienia. – Oboje wiemy, że tą międzystanówką raz w roku coś się powlecze, bo nikt nie zapuszcza się na terytoria Kojota. Dobrze wiedziałaś, że będę tędy jechać. Pytanie tylko, jaki w tym wszystkim interes? W życiu nie widziałem cię na oczy…

– Ech… – westchnęła głęboko, a potem powoli zaczęła zbierać się z ziemi. – Po pierwsze: „nie pierdol, Bonnie.” Rzygać mi się chce, jak ktoś nazywa mnie panienką. Po drugie – wymownie przyłożyła dwa złączone palce do ust – masz fajki?

– Nie palę – odparł. Papierosy rzecz jasna miał, po „tym dniu” stały się najbardziej uniwersalną walutą na świecie. – Do rzeczy, Bonnie, i lepiej niech to będzie przekonujące, bo jeszcze nie zdecydowałem, co z tobą zrobię.

– Niech ci będzie, przyjemniaczku… – Poprawiła ułożenie kapelusza na głowie. Cody pomyślał, że nigdy wcześniej nie widział osoby o tak ekspresyjnej twarzy, tak jakby jej mimika sama odpowiadała za siebie. – Historia jest taka: była nas trójka, ja i dwie inne laski z Detroit. Wszystkie szukające roboty w najmie, bo życie kopnęło nas w dupska, a przez kilka złych decyzji w mieście nie byłyśmy już mile widziane.

Cody nie skomentował, ale domyślał się dlaczego.

– Wlatuje nowy cynk – kontynuowała Bonnie, gestykulując ekspresyjnie – robota w dilerce, ale nie byle jakiej. – Wymownie popukała się w skroń. – Wszczepy, implanty, stymulanty, stabilizatory… no cały arsenał, co tylko chcesz. Sprzęt prosto z Azylu, wyrwany Cybernetowi spod nosa. W ogóle ponoć ktoś wysadził im tę całą wieżę…

Bonnie mówiła długo, a Cody słuchał uważnie, z zainteresowaniem obserwując zmiany w jej głosie i mimice. Opowiadała mu swoją historię; wszystkie porażki i kamienie milowe, które doprowadziły ją do tego momentu. O handlu z Posłańcami Kojota, o niewoli w ich obozie, o walkach z maszynami i wreszcie o Szarym Jastrzębiu, który zgarnął jej sprzed nosa zlecenie, za które mogła przetargować uwolnienie przyjaciół. A tym Jastrzębiem był oczywiście Cody. Emocje Bonnie były jak tafla wody, która raz naruszona burzy maskę spokoju i z czasem formuje prawdziwy sztorm. Zetknięcie się z kimś takim w pustym, pozbawionym skrupułów świecie, było czymś tak dziwnym, jak i odświeżającym. A jeszcze dziwniej było czuć, jak te emocje udzielają mu się w formie… współczucia? W miarę słów rozumiał ją coraz bardziej, choć jej głos łamał się, a zdania były coraz bardziej chaotyczne. W którejś chwili gniew opuścił Cody’ego zupełnie. W końcu Bonnie skończyła mówić. Przygryzała dolną wargę w dziwnym wyrazie twarzy. Mrugała szybko i dużo, jej oczy zaczerwieniły się, choć żadna łza z nich nie wyciekła, jej policzki zarumieniły się i drżały, wzrok spuściła na ziemię. Dopiero po dłuższej chwili Cody zdał sobie sprawę, czego właśnie był świadkiem. Ona się wstydziła. Wstydziła się tego, co próbowała zrobić. Wstydziła się tego, co zrobiła. Prawdziwego wstydu Cody nie widział od wielu lat. Zbyt wielu. To przeważyło szalę.

– Chodź ze mną. – Słowa niemal samoczynnie opuszczały jego usta. Bonnie podniosła na niego zdziwiony wzrok. – Pójdziemy do Posłańców razem. Powiemy, że współpracowaliśmy.

– Na serio? – Przewiercała go spojrzeniem, jakby szukając najmniejszej oznaki podstępu lub żartu.

– Wisisz mi pompę do motocykla i lakierowanie ręki – zagroził, a potem jego głos złagodniał. – Broni jeszcze ci nie oddam, na to musisz sobie zapracować, ale jestem zdania, że każdy zasługuje na drugą szansę. Zwłaszcza w świecie, w której każdy jej potrzebuje.

Bonnie nie odpowiedziała. Gdy wyciągnął do niej rękę, uścisnęła ją bez namysłu. Wtedy jeszcze nie mogli wiedzieć, jak potoczą się ich ścieżki, ani ile życia jeszcze przed nimi.

***Trzy lata później***

Jest taki czas, kiedy życie odzyskuje znaczenie. Długi? Tylko wobec siebie nawzajem. Kariera? Cały świat, który przetrwał, o was usłyszy. Przyjaciele? Wystarczy ten jeden. I nieważne czy kiedyś próbowali cię zabić. To, co było, i tak nie miało już znaczenia, a ci, którzy przeżyli, nie byli już skazani na samotność. Najważniejszym było znaleźć sobie miłość, pasję. Kogoś, o kogo można by zadbać i zatroszczyć się. I Cody miał szczęście taką właśnie miłość znaleźć.

– Czujesz? – spytał Cody, przykładając ucho do wyblakłego asfaltu. – Gleba drży.

– Zbliżają się, banda puszek – rzuciła Bonnie, zgarniając rewolwer ze swojego motocykla. – Ile mamy czasu?

– Z dwie minuty, aż zobaczymy ich na drodze – ocenił najemnik. Dwie minuty, które mógł całkowicie poświęcić na obserwację Bonnie, żującej kolejną wykałaczkę. Nurt czasu zdawał się dla niej zawrócić; wyglądała nawet młodziej niż trzy lata temu, kiedy ją poznał. Kobieta spokojnie ładowała świeże naboje do magazynka. Kiedy skończyła, mechanizm szczęknął wdzięcznie.

– Hej, Cody? – zagaiła, odpychając się od pojazdu. Ruszyła w kierunku piętrzących się skrzyń elektrostatycznych, służących do zbierania złomu. Na szczycie stało stare, zużyte radio z odtwarzaczem. – Puścić coś?

Skinął jej głową, wkrótce rozbrzmiały pierwsze nuty. W końcu Cody wziął do dłoni karabin snajperski, niedawny nabytek, którym do tej pory nie mógł się nacieszyć. Z drugiej strony, czekało go jeszcze wiele okazji.

– Bonnie? – mruknął, jakby od niechcenia. Skierowała na niego pytające spojrzenie. – Chcesz spróbować?

– Na serio? – W jej głosie pojawiła się ekscytacja. Bez zastanowienia porzuciła stanowisko i z honorami przejęła karabin. Rzuciła mu krótkie spojrzenie i niemal bezgłośnie wyszeptała: – Kocham cię.

Niedługo potem na horyzoncie pojawiła się armia. Opancerzone pojazdy, drony bojowe, androidy uzbrojone aż po stalowe zęby… Patrol Cybernetu, łowcy żywych, pomioty Żniwiarza. Marionetki sztucznej inteligencji gotowej podporządkować sobie ludzkość. Apokalipsa. Ale nigdy nie było i nie będzie takiej apokalipsy, której miłość nie mogłaby zwyciężyć.